

Julia Dicksteinówna

Mieczysław Romanowski i przedzgonne chwile romantyzmu polskiego

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce
literatury polskiej 10/1/4, 239-268

1911

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

JULIA DICKSTEINÓWNA.

MIECZYŚŁAW ROMANOWSKI

I

PRZEDZGONNE CHWILE ROMANTYZMU POLSKIEGO.

Imię jego tak przeszło, jako błyskawica...

A życie jego było jedną odą do młodości.

Był z tych szczęśliwych, co padli wśród zawodu, a choć poległe ciało jego nie stało się dla innych szczeblem do sławy grodu, bo miast do grodu sławy, szła wówczas droga ku ementarzowi wszystkich polskich nadziei, ale była myśl jego, jego ogniste pragnienie hasłem dla tych, którzy nie lękali się iść ścieżkami ofiary.

Sądzone mu już było zawczasu umrzeć młodo. Był z tych dziwnych, zjawiających się czasem na widnokręgu społecznym, zwłaszcza w krajach sztuki, postaci młodzieńczych, które noszą od zarania lat stygmat przeznaczenia, znają tajnie swych losów i umieją bez drżenia patrzeć w oblicze śmierci własnej, z tych, co żyjąc od dzieciństwa w przewidywaniu śmierci swej przedwczesnej, oswajają się z nią i nawet potrafią ją kochać. Był z tych młodych, którzy, świadomi przelotnej tylko na ziemi gościny, talent swój nie życiu, ale śmierci niosą i potrafią mocą tego talentu śmierć otoczyć tak powiewnym woalem poezyi, że znika krucza, ponura jej postać, a jawi nam się piękna i kusząca. A oni wtedy tęsknią do niej i śpiewają, jak się tęskni i śpiewa do ziemskiej kochanki.

To też z piersi tych młodych, od pacholęstwa śmierci poświęconych, wypłynęły te wszystkie najpiękniejsze, jakie zna twórczość ludzka, apoteozy siły burzycielskiej, hymny na cześć majestatu kosmicznej jej potęgi, senne, anielską melodyą przepojone marzenie o zaświeciach tajemnych, ciągnących, w mistycznym świetle przed duszą rozlanych, pogarda ziemi i ziemskiej podróży, uciekanie z tego tłoczego postoju, skąd dusza rwie się w jej właściwy świat — pomiędzy gwiazdy.

I polska muza nieraz już chodziła po grobach młodych, wcześniej w zorzach zmilkłych swoich synów...

Romanowski nam opowiada, jak poznał śmierć własną. Gdy kiedyś w zorzach letniego wieczoru ukazała mu się piękna, jak dziewczica grecka, i szła do niego wśród ros murawy płynnym, miękkim ruchem, może nie przypuszczał zrazu, kto ona, i z cudnej postaci wziął ją za „anioła Pana“. Lecz, gdy mu rzekła: „Jam śmierć twoja“ — nie drgnął, nie zatrwożył się, owszem, jakby poddał atmosferze ciszy, zadumy, ukojenia, która szła od niej może, a może od wonnego, ciepłego wieczoru.

Biedne, od poranku sterane serce samotnika przylgnęło prędko do wiotkiej postaci nowej towarzyszki, która umiała „w bólu dziwnemi kość go słowy“. Obiecała mu, że kiedyś, gdy do niego wróci, uśpi jego serce, jak matka usypia dziecinę, miękką dłonią oczy mu przesłoni i lekko skrzydła duszy mu rozwinie.

Tak się żegnali, jak kochanków dwoje. Wiedział, że ona słowa mu dotrzyma, że niedługo wróci i wiedział, że dni do jej powrotu wypełnić musi świętą misją swoją, pracą gorącą, bo czasu mu mało. A ona odeszła ze słodkim uśmiechem, i kiedy serce mu się za nią rwało, rzuciła mu z dali już w zorzach niwnąca ostatnie, miękkie słowo pożegnania:

„Dowidzenia na polach!...“

I.

W wiejskim dworze na Pokuciu wznastało małe chłopię. Pośród cichych czarów swojskiej przyrody i „szmeru“ wiejskich pacierzy“, wśród miłości rodziców, rodzeństwa i piastunki starej. Matka wiary uczyła małą gromadkę, ojciec o dawnych rycerzach opowiadał i o bojach, a starsza siostra śpiewała piosenki. I kiedy płakał, lub skarżył się mały braciszek, to nie zabawką, nie pieszczotą kojono łyż jego dziecięce, ale tem właśnie tęsknem siostry śpiewaniem.

Nad łóżkiem ojca wisiał krzywy kord; czerwone węże ślizgały się po nim, gdy wieczorem ogień płonął na kominku, iskrami srebrnymi śmiał się, gdy rano słońce przez okno zajrzało. Ten kord zakrzywiony to pierwsza, namiętna miłość chłopczyzny:

Ku niemu zwraca oczęta,
Na licach uśmiech igra mu żywy
I klaszcze w drobne rączęta.

Wiezorami letnimi — bywało — wybiegał malec chyłkiem do ogrodu, czekał, aż przebrzmi w ciszy ostatnie echo kościelnego dzwonu, a gwiazda wieczorna rozbłyśnie w srebrze nad uśpionem siołem. Zawisał wtedy wzrokiem na jasnym promieniu, a dzie-

cięca wyobraźnia umiała dostrzedz na fali światła postać Najświętszej Panny, gdy zstępowała schodami niebieskimi ku wzgórzom okolnym, ku polom i chatom. Jak dobra matka szła pomiędzy lud, między biedotę, co cierpi i płacze, a kiedy już wracać miała ku niebiosom, zabiegał jej drogę hufiec skrzydlatych na koniach rycerzy z pytaniem takim, od którego oko we łzach staje. A ona, znikając, obietnicę im rzuciła z wysoka, że — już niezadługo. Drżały listki osiny w srebrze księżycowym, lekko zdroj szeptął wśród miesięcznej ciszy, a serce chłopięce biło w piersiach wzruszeniem, gdy przecucie najwcześniejsze przyszłych trudów spływało na nie z tą wizją wieczorną.

A gdy w pachole wyrósł rozmarzone, biegał na mogiły, kłekał na darni zielonej, co bohaterów dawnych kryła kości, czoło płonące tulił do nagrobnych głazów i ramieniem opłatał krzyże pochylone. On „prochy ojców łzami dziecka kropił“ i szedł tu do nich na te długie rozhowory, aby od nich samych wydostać odpowiedź, czemu tak tęskno dzisiaj nam, ich wnukom? Zwykle daremnie było „sercem rozkopywać groby“. Ciszy cmentarza nie mącił żaden szep, krzyż tylko stary skrzypiał ponuro, a z dalekich niw wiatr nanosił jednostajny poszum kłosów.

Niekiedy jednak udawało mu się tęsknotą wywołać widzenie. Z za kłębow mgły, która związała się od mogił, dostrzegał wtedy, zamiast zwykłych leśnych dębów — olbrzymów, sunący zwolna orszak białych duchów. Przed nim rozkładały się szeroko pola walk stoczonych, a milczący pochód bohaterów przemierzał je niezachwianym krokiem, w niebo się kierując.

Tak więc nie jad, nie truciznę znajdował w ziemi cmentarnej ów młody „świerk sadzony na grobie“, owszem ten sen na mogiłach zahartował go, jak stal. Z czasem zawołał:

O, kto z mogiły czerpał krew i życie,
Do pogrzebnego kto nawyknął dzwona,
Kto ducha wprawił do ludzkiego jęku.
I oręż nagi, lub piorun ma w rękę,
Nie konał.

„Błądny ptak życia z krainy grobów“ zaczerpnął męskich zapas sił, jakby przeczuwając, że mu kiedyś „Bóg obronę przyszłości powierzy“.

I poszedł w świat, poszedł, tuląc do piersi młodzieńczą lutnię, z której zdążył już wykrzesać parę piosenek. Ruszył „w świat czynów rzucić ducha“. Nie był smutny. Kiedy pierwszy raz w życiu zaśpiewał, zdało mu się, że niebo otwiera się przed nim, że serca ludzkie chyłą się ku niemu, że słońcu blasku, a nocom gwiazd przybyło; znalazł najwyższe swoje szczęście, najsłodszą miłość w życiu całym — pieśń.

Zaczął też przez tę pieśń swoją wśród młodych hetmanic.

Ale niedługo trwała mu pogoda. Był z kraju, gdzie bezkarnie słowikom trelować nie wolno, z kraju, który dniem i nocą słucha bicia serc swych dzieci, a skoro tylko kędyś śpiewną serca melodyę podsłyszysz, chwytając zaraz ofiarę na zaciąg okrutny, na niepodzielną służbę swojej doli.

Więc i nasz młody pieśniarz musiał iść w rekruty. Stawił się bez zwłoki, świadom odrazu wysokich powołań, co się w tej chwili przed nim rozkładały, zrozumiał, że pieśń ludu jest jednym ze sztandarów, a jemu, śpiewakowi, trzeba zaciągnąć się jako chorążemu sprawy. Wiedział, że z dniem dzisiejszym przyjdzie mu się wyrzec całej życia słodyczy, odwrócić oczy od kwiatów barwnych, co mogły mieć wiecznie jego drogę, ale westchnienia tłumił i otamowywał za szczęściem własnym żyży, bo дума podnosiła młodzieńczą pierś, że został oto Umęczonej wybrańcem.

Droga, biegnąca przed nim wzwyż i bez kresu, zdawała mu się zrazu złotym w słońce szlakiem, niedostępną dla pyłu ziemskiego deptaka wyżyną, której się z ptaków tylko orły, a z ludzi tylko wieszcz nie ułęką. Więc wszedł na nią, wnosząc całe życia swojego bogactwo; w piersi młode serce, które bardzo kocha, a w ramionach niewprawne muzyczne narzędzie.

Ale „złoty szlak“, gdy się nań wstąpiło, okazał się kutą z żelaza drogą. By innym świecić, trzeba było samemu stopy krwawić, słoneczną spiekę cierpieć i „trudów trud“. Jednak nasz pieśniarz, choć nieraz ból okropny ścinał mu usta w ponurym pochodzie, nie zniżył się do przekleństw. Wiedział dobrze, że choćby w trójnasób wzrosły jego męki, on już do dawnego życia powrócić niezdolny, bo „komu Bóg ducha tak zapali“, tego już łzami, ni lodem nie ostudzić, a zbyt dumne jest serce jego, by się skarżył. „Kto się raz orłem pod błękitem ważył, ten z góry może wpaść tylko do trumny, temu nie wolno z gadem sięść przy stole“.

Nie oglądał się poza siebie, choć wiedział, że puste miejsce czeka go zawsze w rodzicielskim domu, choć sam dobrowolnie zatrzasnął za sobą furtkę rozkwitłego ogrodu miłości; jeżeli myśl jego zbiegała w zielone niziny, to tylko dlatego, że bolała go gnuśność tych, którym się szło promyka niebieskiego z wysoka przychwycić. Widział, że się nowych wyrzekają świtów, więc samotnie, nocą czarną, czyniąc „wartę w śpiących duchów tabo-rze“, klękał przed Panem, jak prawdziwy ofiarnik, błagając, by ciernie stały mu się jeszcze krwawsze, byle tamtym ofiara jego wlała życie:

Memu się Bogu pokłonem ścięłą,
Za młodość moją w ciernie obfitą,
Za to, że cierpiać i walczył wiele,
Żem drogą nieraz szedł nieubita,

Żem na niejednym kolcu się skrwawił
I ślad niejeden krwi pozostawił.

I za samotność życia grobową
Pokłonem Tobie ścielę się Boże!

I stało się owej nocy, kiedy się modlił o „ogrójcową czarę“, iż błyskawica chyżo przerznęła krwawem cięciem kir mroków. Podniósł się młody z klęczek, szepcząc: „Burza będzie“.

I wtedy — naraz — w mgnieniu myśli jednej, jak ta błyskawica-zwiastunka nagłem i ognistem, na samym dnie rozbolałej duszy wyczytał napis płomienny: Idź i wieść burzę!

Przejrzał w tej jednej chwili cel istnienia swego, znalazł harmonię, na której bluszczem owinie melodye swej lutni. Tak, idzie burza: niebo i ziemia przypadną do siebie, jak dwóch zapasników w śmiertelnym uścisku, a ludzie nędzni, biedne rzesze, znękanе życia znojem, nie widzą nic i nie czują. Więc on będzie głosił tę burzę, on wskaże pierwszy chmury, nieboskłonem ciągnące, rozbudzi sennych, ocuci omdlałych, by w gotowości stali, gdy przyjdzie godzina.

W tej nocy natchnienia odkrył sam siebie...

„Jam przedburzowiec!“

On — ptak z legendy, co zjawia się na oceanie, ledwo wiatr pocznie marszczyć ukołysane ciszą fale. On — ptak, co sphywa z pierwszym gorącym oddechem burzy i nisko, nisko, tuż nad nurtami skrzydłem żalobnem zatacza. I nim słońce się uwikła w czarne żagle na niebie, cień ogromnych skrzydeł ptaka śmiga raz po raz po okręcie, jak cień skrzydeł ducha. A gdy brzmieć poczyna symfonia wichrów i bałwanów, gdy pioruny takt podają piekielnej muzyce, ptak kołuje w jakimś dziwnym tańcu rozkoszy, to z chmurami się zlewa, to się zmaca z falą, w świetle błyskawic czerwonym się pławi, sam, jako bratnia czarna błyskawica.

A gdy nazajutrz niebo lśni pogodą, gdy fala, jak uśmiech pod błękitem leży, na pokładzie ptak martwy kirem rozpościera zeszywniałe skrzydła.

.....

Nasz młody pieśniarz ukochał burzę. Bo jemu parność przygniatała piersi, on do żywiołu tęsknił, co się nad ziemią męki rozszaleje, co ją nazajutrz uśmiechniętą i złotą o świetle słońcu złotemu przekaże, choćby on sam, burzy herold, już o tym świetle nie ze świata żywych był...

I teraz z pieśni młodzieńca obok nuty bólu przeblyskiwać zaczął ton oczekiwania... Im cierpiał więcej, tem pieśń dalej niosła, a krok jego na nowo nabrał sprężystości:

po trzykroć upadłem
 Pod krzyżem pracy — skrwawiony i drżący,
 I trzykroć, trzykroć z upadku powstałem
 I uspokoił się duch bolejący.

A burza, ta upragniona tyle, utęskniona, naprawdę szła.
 Groźny pomruk niósł się przez powietrze, skryło się ptactwo i las
 stanął niemy. Chmury ciągnęły ciężkie ponad krajem, głucho
 i gniotące, jakby naprawdę już wojsko sunęło w ordynku bojo-
 wym. Chwila, a grom padnie...

I stało się. Buchnęło zarzewie z północy: Tam, w stolicy
 kraju strzelają do ludu!

Jękała bólem pierś młodzieńca, a jednak zakrzyknął głosem
 tak donośnym, iżby go usłyszała ta cała ziemia cierpień dookoła:

Chwała Panu, idzie ku nam w chwale;
 Utęsknione serce Go przeczuwa,
 Drży przyroda, niebo się rozsuwa,
 Anioł spuścił na dół zbrodni szalę,
 Sprawiedliwy idzie ku nam w chwale.

I w takiej chwili górnej i chmurnej spełnił młodzieniec naj-
 wyższy dotąd czyn ofiarny: strzaskał swą lutnię! Bo już nie-
 wczesne chyba dziś jej pieśni, godzina gromów woła o oręż.
 Pożegnał jedyną swoją na szczytach pocieszycielkę, zanucił swoje
 bolesne Finale i odegnął precz pieśń...

Teraz się miały zacząć dni samotne, najkrwawsze.

Ale niedługo już, już tylko dotrwać!

Jutro ryknie grom, ale jutro też spokój wieczysty duszę
 owionie. On wie, że tu jego kres. Spełnił misję świętą. „Burzę
 wieściłem, burza będzie, Panie“. Teraz jeszcze pójść w sam ogień
 rozpalony, w ów ogień, za którym się tęskniło w ciszy, skoczyć
 w blask i spłonąć. Pójść, wieść za sobą tych, nad których du-
 szami czuwało się, jak nad dziećciem w długie noce zimowe,
 pokazać im, gdy się ocknęli bólem, że nie kłamali wieszczce, bo
 czyn i słowo to jedno, to bliźniąt dwoje, a potem? czyż jeszcze
 zostało coś do spełnienia jemu, „co ból zmierzył“?

.....

Pierwszy piorun walki o świty ugodził młodego hetmana...

Utkwiła kula nieprzyjacielska w rozpalonem marzeniach
 czole, padł na tę ziemię, której pierwszy hejnał krwawego deszczu
 występował.

Za śmiercią ku jej chwale tęsknił, śmiercią ku jej chwale
 poległ. Zginął we krwi, jako jej oblubieniec, jak ginęły we krwi
 białe oblubienice Chrystusa.

I pochyliła się nad poległym żołnierzem Eloë — muza tej ziemi — i w pieściwe dłonie ujęła duszę tę, jak kryształ czystą, niby zmęczone po płakaniu dziecię i zaniósła, skrzydłami po powietrzu żeglując wiosennem, aż hen w niebo, wprawić tę nową łzę perlistą w aureolę duchów świetlanych, co zdoła skronie Męczennicy.

Biała dziewica dotrzymała przyrzeczeń — stawiała się na polach.

II.

Taka była powieść jego życia.

Rozszerzyłam się nad nią nie przeto jedynie, że samo owo życie było poematem, ale i dlatego, że te krótkie dzieje, ta urwana pieśń i ta śmierć żołnierska młodzieńca mają swoją cenę specjalną. Romanowski w romantyzmie polskim zyskuje przez nie stanowisko odrębne, wyjątkowe, powiedzmy nawet: konieczne. Bez niego gmach naszej poezji nie byłby wykończony i doskonały; a oto dlaczego.

Powiedział kiedyś Schopenhauer, że każde prawdziwe dzieło sztuki jest odpowiedzią na pytanie, co to jest życie? Nasza wielka poezja porozbiorowa jest odpowiedzią na pytanie, co to jest życie całego narodu? jest samopotwierdzeniem się zbiorowej potęgi duchowej, która całą swoją moc życiową — wypierana zewsząd — cisnęła tytanicznym gestem w to jedno łożysko. I możemy śledzić w nurtach tej przepastnej rzeki krok za krokiem kolejno, co się działo w podziemnych tajniach narodowej duszy.

Życie narodu było najprzód głuchym bólem, było miłością bez granic, dlatego, że i nieszczęście było bez granic; potem stało się upartą i niezachwianą myślą o jutrze. Romantyzm najprzód płakał, skarżył się i kochał, potem w spazmie męczeństwa zahaczył krzykiem aż o gwiazdy, wreszcie począł w świątyni natchnień niebiańskich broń na jutro kować. I stworzył romantyzm swój własny świat, niebo swoje i swoje gwiazdy cisnął w jego sklepienie, według praw własnych krążyć im nakazując; z własnej swej piersi tchnął w swój wszechświat życie i własną temu życiu postawił etykę. Wyrósł ten świat korzeniem na ziemskim padole, z łez i cierpień ziemi, ale zawisł gdzieś w sferach, kędy już zamiera działanie ziemskość; był to świat wymarzony greckiego Logosu, gdzie króluje Słowo, które jest Czynem, i Czyn, który jest Słowem. I tam, w tym rejonie czystego ducha, rozegrały się wszystkie akty owej przedziwnej tragedji, której epilog krwawem skrzydłem nad realną polską rolą załopotał. Ze świata idei i natchnienia przysłało tym razem Polsce herolda z wojennym rozkazem na pisanym krwią wieszczów pergaminie.

Ale nie potrzebujemy wychodzić poza ramy romantyzmu, aby wykazać, że pobudką była poezya, czynem z niej wynikłym powstanie. Pozostając w świecie natchnień, mamy w jednym akcie i Słowo i Czyn, a mamy — dzięki Romanowskiemu. On, ostatni z Zakonu, wykonawca woli Tytanów, ginie sam na ofiarnym stosie w imię wieszczonych haseł.

Oto jego miejsce w pochodzie idealnej myśli dziejowej narodu polskiego.

Ten młody, którego śmierć zabrała wtedy, gdy mógł dopiero wypłynąć na szerokie nurty i wykazać, jak daleko zdolen byłby na nich zaęglować, przez śmierć swoją wyższe zajął w hierarchii wieszczęj stanowisko, aniżeli, gdyby nam jeszcze był dorzucił wonne pęki choćby bardzo pięknego kwiecica swoich natchnień.

I dlatego Romanowskiego, tego ulubieńca umęczonej ojczyzny, powinniśmy nazwać tu szczęśliwym. Nie w znaczeniu codziennej, naszej ziemskiej szczęśliwości. On był szczęśliwy według norm tego wyższego królestwa Logosu, szczęśliwy szczęściem pomazańców i wybranych. A czyż tym wszystkim, którzy z anielskim uśmiechem zaziemskiego szczęścia wpatrzeni w promienie oblicze swego Boga, czy swojej idei, ofiarnie konali, także stóp nie ranił ziemski cierń i gruda?

W najpiękniejszym ze wszystkich, nielicznych, niestety, wspomnień, jakie dotąd poświęcono Romanowskiemu, p. Jadwiga Marcinowska ¹⁾ blizka jest naszej myśli. Śliczną tęczę spina westchnienie o zgon żołnierski z polskiej Biblii, i ten rzeczywisty upadek od kuli w potyczce Józefowskiej.

O śmierć szczęśliwą na polu bitwy prosimy Cię, Panie!

Tak kazał się modlić pokoleniom całym największy polskiego ducha pracodawca, i z taką modlitwą na ustach — niewysłuchaną — poszły w mogiły pielgrzymie zastępy. I on sam, z proroków największy, i Anelli biały, któremu cień dezercyi w godzinie krwi kładł się nocami zmorą na chorych piersiach, i ten trzeci, który przez rok tragicznych ofiar z ciemną szamotań „tem umierał, że umrzeć nie mógł“, żadnemu z nich się Sezam na zakłęcie Lituanii nie otworzył. „A więc tylko tamten jeden późniejszy i o tyle mniejszy“ — cytuję znowu p. Marcinowską — „ten młody, którego życie było podobne do krótkotrwałej, świetlanej smugi...“

Tak, w nim i przez niego słowo romantyczne polskie stało się ciałem, kwiat natchnień zakwitł purpurową krwią. Inni marzenia odsyłać musieli na daleką falę, goniąc oczyma tęskniami cudną fata morgane; on jeden dożył i — dokonał. Pieśń zgłuchła

¹⁾ Jadwiga Marcinowska, Mieczysław Romanowski. (Przegląd narodowy. Sierpień, 1908).

po nim, bo w nim powstał czyn. Doprowadziła tam, gdzie doprowadzić przyrzekła; więc już musiała zstąpić do mogiły. Rap-sod się dośpiewał, słońce wielkiej poezji dobiegło kresu swej dziennej drogi, gasnąc w zorzach czerwonych.

Dzięki Romanowskiemu romantyzm polski był zarazem kwiatem i owocem, był święceniem broni i rycerskim czynem. Był na równi kapłanem narodu i wodzem. I z tego stanowiska Romanowski zginął, bo zginąć musiał, bo tego żądała logika tego wyższego świata, którego refleksy padły na jego wcześniej smutkiem porane czoło. Upadł na ziemię,

jak złamane dłuto,
Którym zaiste wielki posąg kuto,

wielki i dokonany posąg polskiej poezji romantycznej.

III.

Jakież on był ten najmłodszy i ostatni, ten szczęśliwszy od największych, to wybrane dziecię matki niewolnicy?

Nie był z najbardziej mocarnych, ale był z najbielszych, nie z tych, co najwyżej dolecieli, ale z tych, co kochali najgoręcej. W przytoczonym już studyum p. Marciniowska słusznie rzuca zdanie, że nie z krytycznym narzędziem, ale z miłością iść do niego trzeba. Niech ta myśl i nad naszą pracą się unosi. Nie chcę pieśni jego włóczyć przed żadne instancje sądów literackich, czy innych, chcę raczej oddać głos jemu samemu, niech po długim milczeniu znów się do społeczeństwa swojego odezwie. Z jego własnych wierszy niech się twarz jego w cień zapomnienia zasnęta wychyli, odemnie się tylko garść dopełnień wplącze.

Zacząć trzeba natychmiast od zastrzeżenia: on się nie wypowiedział, nie miał na to czasu. Jakby był posterował dalej swą twórczością, jaki port dojrzałości obrał z wiekiem dla swego okrętu, na to odpowiedzieć mogą jedynie nasze przypuszczenia. Umilkł na zawsze w wieku, w którym inni nieraz zaledwie wstępują na złoty szlak poezji. Możemy tylko scharakteryzować to, co nam dał, a niewiadome zakryć hipotezą, ale nie kwalifikujemy jednym słowem ilościowo, ani jakościowo jego duchowych zasobów, bo nie mamy prawa.

Scharakteryzować go najlepiej jego własnymi słowy, tak, jak on ocenił swego ulubionego grajka:

tyś nie grajek uczony,
Jacy przychodzą do nas z obcej strony.
Tu przed swoimi stał gędzbiarz natchniony,

Wszystko, czem żyjem, z czem w mogiły kroczym,
Zlał na nas dźwięków strumieniem uroczym.

A więc i on także był polny śpiewak, co na swojską nutę chciał z nami rozmawiać.

Owszem, o kunsztowności, o wykwincie pieśni jakby wyrażał się z pewnym przekąsem: to import obcy! Wiedzieliśmy zresztą z góry, że to nie „europejski“, a rodzimy poeta, nie tylko pod tym jednym, ale pod wszystkimi kolejno względami. To się w toku zarysuje dokładniej. Tymczasem mimochodem rzucę słówko o jego niezbyt dalekiem powinowactwie duchowem z Ujejskim, zwłaszcza z Ujejskim młodzieńczym, co też jeszcze nieraz przypomnieć się zdarzy. Te same na palecie u obu barwy duszy, choć w innych nieco wzajemnych stosunkach, ta sama miłość rodzimej przeszłości i równa u obu czystość ukochań, ten sam zapal niewygasły, prosto z serca, wiecznie młody i chęć bujania po niebie z orłami, pewna dziecięcość w przywiązaniach serdecznych i to samo rzadkie wychylanie się poza geograficznie zdemarkowane ramy tych przywiązań, to samo narzekanie na atmosferę chwili, w której zmroziły się górne natchnienia i to samo żywe upragnienie zmiany.

Ale Ujejski, starszy latami i epoką, bliższy był wielkiego duchów polskich ogniska i więcej jeszcze na jego postać czerwonych błysków światła stamtąd pada. Romanowski już bardziej w białem oświetleniu dziennem dla nas stoi. Wróć jeszcze nieraz do tej względnej naszego młodego „trzeźwości“, która i na religijność jego, szczerą bez wątpienia i głęboko w nim tkwiącą, inne, również przejrystsze rzucić będzie światło.

Widzimy już tymczasem, że jak wszyscy poeci nasi owej doby, Romanowski jedynie i wyłącznie sercem pisał; ono było jego „barfą złotą, gromami śpiewną, a drżącą“. Wszystko, co stworzył albo uplótł z wianka marzeń u czoła, albo z ognia w piersi wykrzesał, albo z boleści duszy wyszlochał.

Z drogi podniebnej, na której oglądaliśmy go przed chwilą, tak mówił do Boga:

Lecę ku Tobie, jako ptak wędrowny,
Skrzydłem mi, Panie, jest serce tęskniące,
Do Ciebie rwę się, jak żal niewymowny
Z pól...

A więc serce było skrzydłem, które niosło „między orły i sokoły“ serce bijące, zawieszzone w piersi ludzkiej nie wiedzieć przez kogo na udrękę i smutek, serce, które nazywa i rajem swoim i katem, które jest dla niego środkiem ciężkości wszelkich świata ruchów i obrotów.

To jego serce, które nam krew swoją w poezji przekazało, swoją gorycz i ból, z rzadka uśmiechami młodości przesiany, pomimo tylu skarg, narzekań i szlochów bogatsze było w miłość, niż w nienawiść¹⁾. Część goryczy, i to tej najwcześniejszej, zgodnie z prof Brücknerem, zainkasujemy do rubryki bajronowskich dekoracyi, resztę bruzd wyorało życie, smutne i dziwnie zawzięte na tę uroku pełną, porywającą postać młodzieńczą. I dlatego postawię twardo moje własne twierdzenie, że Romanowski nie był naturą zgorzkniałą, nie był, jak Petrarca, un di quei che'l pianger giova, jednym z tych, dla których łzy są potrzebą. „Io non diro che il piangere sia natura mia propria, ma necessita detempi e della fortuna“, tak powiedział o sobie Leopardi, ależ to stokroć słuszniej przyjdzie o Romanowskim powiedzieć. Płacz nie był jego właściwą naturą, lecz koniecznością czasów i wydarzeń. Bo on był silny mocnym prądem życia, który mu płynął przez żyły.

Jeżeli Chopina nazywają często konstrukcją psychiczną kobietą, to Romanowski — znowu w parze z Ujejskim — jest budową ducha całkiem i nawskróś męską, z przeważającymi w niej akcentami zapału, energii, inicjatywy zawsze świeżej i gorączki czynu. Poezja dla takich natur nie jest podłożem, na którym opiera się wiotkie, pajęczne sklepienie całej pozostałej psychiki, ale jest aureolą, obejmującą w obręcz świetną wszystkie czyny i umiłowania duszy.

Wbrew typom refleksyjnym, które narzekają na podłość i skarleńie swego czasu, np. Krasiński, uczuciowe, takie, jak nasz poeta, cierpią raczej nad wystudzeniem otoczenia, rani je z doświadczeń własnych wywiedziona pewność, że po tylekroć sercem rzucone wezwanie było, jak głos na puszczy, a przez niemożność pokrziesania o inne serca trzeba było patrzeć, jak gaśnie iskra we własnej piersi przez miłość zrodzona. Więc i Romanowski rzadziej potępia. a częściej cofa się w siebie, lub w niebo patrzy, zawiedziony.

A jego miłość burzy? Ona też chyba będzie dowodem umiłowania rwącej potęgi, żywiołu, przepychu kruszącej zapory siły, anizeli zniszczenia i śmierci. Bo dlaczegoż burza ma zabijać? Zważmy tymczasem przelotnie, że w obrazach, które w poezji swojej zostawił, o wiele nam łatwiej o barwy spokoju, o kwiaty, ogrody, anizeli o widoki ponure, lub śmiercią tchnące. A więc i owo wzdychanie do śmierci, tak częste i ta nadzieja, że jednak dla niego śmierć przyjdzie z burzą, to raczej przeczucie ludzi, którzy noszą stygmat idei, anizeli jęk człowieka, któremu samo życie, sam fakt życia jest męką.

¹⁾ Podkreślił to już H. Galle w studium o Romanowskim (Album zasłużonych Polaków i Polek).

Jego filozofia burzy zrodziła się w tym punkcie duszy, gdzie się przecięły dwie linie wytyczne: jego własna, wrodzona linia życiowa i linia poezji, idąca jako przykazanie od olbrzymów polskiej pieśni. Jest w naszym poecie pewna niecierpliwość śmierci, która jest tą, już wspomnianą niecierpliwością czynu, jak u żołnierza, który się nudzi długą bezczynnością w obozie. Więc jeżeli dla drogi chmurnej i krzyżowej porzucił swoje osobiste szczęście, to — znów powtórzę — było to w jego duszy zjawisko wtórne, zaszczipione wszelako na pniu duchowym silnym i pogodnym.

Posłuchajmy, co mówi o swem dzieciństwie, które było niezamącone chmurą, „póki nie wiedziało dziecko, że są groby“ :

Gdym od brzegu odbijał, to tęczy rozwoje
Kwiatem drogę mi stały przez modre bałwany,
A ja — dziecko — na łodzi słodko kołysany,
Płotem w wianek żeglugi marzenia powoje.

Dopiero kiedy „burza wianek porwała“, „gorące serce złud doznało tyle“, gdy wreszcie skrzydła własne „wichrem i gromem podarte“ zobaczył, wtedy dopiero zaczął krwawić palce w bólu nad przemarnioną młodością swoją. Coś dziwnie wzruszającego jest w tych prostych wierszach, w tych zapytaniach, rzucanych własnej wiosnie życia, czemu tak smutna? czemu wesoły dzień od niej stroni?

Młodości! twoje tęcze koralowe,
Twój płomień daj mi na chwilę i śnienie,
Błyśnij nademną twemi błękitami!

Młodości moja! wyrwij ty się ptakiem
Z tych krain bólu, nim wiosna przemienie.

Ale nie było dane biednemu ptaszęciu...

„Dnie mu jak fale płynęły, których piana chłodem bryzgała na serce i ducha“.

Aż wreszcie zdołał sobie któregoś z tych smutnych dni, wśród daremnego prężenia skrzydeł podartych, powiedzieć z dziwną w jego wieku rezygnacją, że ból zmieści w sercu, jak miłość i weźmie od niego to, czego nie udało mu się wziąć od szczęścia.

Porównajmy wszakże tęsknotę śmierci Romanowskiego z tęsknotą śmierci, jaką czuł Leopardi, który — wbrew przytoczonej cytacji — pesymizm przyniósł już ze sobą na ziemię wraz z nieszczęściem ciała swojego i losu, on, dla którego cały świat był minorową pieśnią żałoby i smutku, a całe życie jednym molowym akordem, bo w nim „wszystko tajemne prócz cierpień“.

Miłość, która dla Romanowskiego była najwonnejszym kwiatem życia, Leopardiemu jawi się jako siostra śmierci, jako preludium często do misteryum śmierci. On między tymi, którym przyjrzelśmy się we wstępie, ukochał śmierć jeszcze dziecięcim i lata liczył tęsknotą do jej odwiedzin:

A ty, którą ja z młodu pełen cześci
Nieustannie wzywałem,
Piękna, litośna śmierci,
Co jedna ziemskie uśmierzasz boleści,

Pokwap się skłonić ucho
Na powtarzane modły;
Przed światem, co mię rani,
Przymknij te smutne oczy, wieków pani!
Znajdziesz mnie zawsze, o której bądź porze,
Skrzydła rozwiwszy, na me prośby korne
Zlecisz...

Ciebie jednej i owej
Pory czekam majowej,
Gdy mi dasz głowę pochylić uśpioną
Na twe dziewicze łono.¹⁾

Tego człowieka nie już do ziemskiej doli nie przywiąże.

A Romanowski? On cicho, nieśmiało zgodziwszy się, że go los wybrał na ofiarnika, w skrytości serca pięści jeszcze nadzieję. Po chwilach upadku zrywa się i silnym głosem woła ku swoim: „Wstańmy i wlećmy życiem płomieni!“ On czasem, czasem, dopuszcza do siebie myśl, że może jeszcze ręka przeznaczenia go pominie, że ujrzy to, co będzie za jego przewidzianym kresem, że jeszcze kiedyś, broń złożony krwawą, nową, odrodzonej Polsce na chwałę zaśpiewa. „Znów widzę szkli się tęcza złota, powróciła mym oczom, jam w powrót nie wierzył“. Marzy... ale tak cichutko, jakby się lękał, że go kto podsłucha, że tę jego nikłą wiarę przed Przeznaczeniem zdradzi:

Iskro nadziei, jeżeliś snem tylko,
Dlaczego tak jasną czarujesz mnie chwilką?
Zgaśnij, mych uczuć nie kołysz goręcej,
Bo cierpię więcej.

„Pięknaś, jak zorza, wstająca z pomroku — Zawielkie szczęście!
uchodź zalotnico...“

¹⁾ Przekład E. Porębowicza.

Ale nawet poza chwilami jasnemi duszę Romanowskiego trzyma nadzieja, już nie osobista, ale zwycięstwa sprawy i tli niekiedy dziwnie rzewnem i smutnem światłem rezygnacyi.

Romanowskiego możemy zestawić poniekąd z dwoma innymi młodymi bohaterami lutni i oręza. innymi kwiatami, skoszonymi na łące ofiarnej: z Körnerem i Petöfim. I u tamtych są momenty, które przywodzą na myśl naszego śpiewaka: ukochanie sprawy całą gorącością młodej krwi i gotowość poświęcenia się dla niej bez namysłu.

Es schwärmten meine Träume nicht vergebens,
Was ich so oft gefeiert mit Gesang,
Für Volk und Freiheit einst begeistert sterben.
Lasst mich nun selbst um diese Krone werben:

śpiewa Körner i z tym samym spokojem, co Romanowski, patrzy w widmo otwartej mogiły:

Gestern noch auf stolzen Rossen
Heute durch die Brust geschossen,
Morgen schon im kühlen Grab.

Albo Petöfi, którego marzenia też „miały orlą postać“, który

młodością wrzącą
Zawrzał wśród równych najwcześnieji,
Śpiewając ludziom ogrzewał pieśni,
Ciepłą krwią w żyłach drgającą,

a w samotności czując, „że siły jego giną w bladej śmierci uściśnieniu“, śpiewał hymn na cześć wiosny swobody, wiosny 49-go roku, gdy „ptaszęta podszeptowały pieśniarzom pienia i niemo-włęta uczyły najświętszego imienia Wolności“.

Tylko, że poeta polski obok miłości, która na widok cierpienia kazała mu się poświęcić bez wahania, niósł jeszcze w piersi cały katechizm wieszczych przykazań i ta puścizna, ta misya nadaje jego twórczości i jego czynowi zabarwienie, którego darmoby nam przyszło szukać u Körnera, czy u Petöfięgo.

A jednak, choć nazwaliśmy go wykonawcą cudzej woli, choć spięliśmy go klamrą wyższych przeznaczeń ze światem politycznym w naszym kraju objawień, choć zaznaczyliśmy (idąc w tem za G. Baumfeldem, autorem studyum o Romanowskim), w jego twórczości skrzyżowanie owych dwóch linii zasadniczych, nie mniej jednak powiemy ze stanowczością, w tajnie jego duszy zajrzawszy: on nie był cały z Legionu, on był z Życia. Miłość grobów i woal tęsknoty na lirze dało mu życie. Ono postawiło kołyskę jego tak, że z zachodu leciał ku niej „od Tatr o skrzydła orle otarty wiatr“, a ze wschodu podmuch od stepów i hen przez

nie aż od Czarnego morza, a w nim błąkały się jeszcze gasnące echa teorbanów kozących i poszum kresowych chorągwi. Jest więc w duszy poety zadzierzystość i odwaga górala obok tęsknej fantazyi stepowca.

Na to tło dopiero padł zasiew Tytanów i padł w magiczną wypełnień godzinę.

Lecz choć Romanowski pod sztandar zaciągnął się duszą, był inny od tamtych, bo inny był jego czas. Wyrzył sobie w sercu tamtych okrzyk: „Czuwaj!“, ale pojął razem, że już nie stanie on z tymi do chóru, co czyn daleki pieśnią swoją wieszczą. On musi być sam czyniącym. Wiedział, że czas już, że najwyższy czas.

I całą poezję Romanowskiego możnaby zamknąć w tych dwóch słowach: Już czas!

Już czas! więc nie hartowanie duszy w wytrzymałość, może bezkresną, nie świętość w niewoli, ale: do broni! Godzina, która idzie, to proroctw inkarnacya!

Gdy się dobrze wczujemy w ten nastrój przedburzowy i przedwybuchowy (ułatwi nam to jeszcze Asnyk swoim cudownym wierszem o powstaniu), to nie trudno nam będzie pojąć, dlaczego Romanowski tak łatwo i tak krytycznie oparł się kuszącej Mai mesyanizmu. Czasem zabłąka się wprawdzie pośród jego pieśni obraz o kolorycie mistycznym, ale wyjaśnienie łatwe: to wpływ. Częściej, przeciwnie, gani umysłową mgławicę, co się włączyła po polskiem niebie romantyzmem, a nawet o Mickiewiczu pisząc, jakby się sam namawiał do tolerancyi wobec „zbląkania się orła“.

Choć w srogim bólu duch mu się zmącił,
Potargał struny, lutnię odtrącił,
Toć z mgły o ma mień, widząc cierpienie,
Drżącemi usty wieścił zbawienie.

A dlaczego tak? Bo oni przez noc błędząc nieprzebitą, musieli tym ogarkiem drogę sobie torować, by nie zabłąkać się już bez wyjścia, jemu zaś prawdziwa zorza wskazywała drogę, a ogarek przy niej okazał się żółty, nikły i — kopcący. On czuł tuż przy sobie przygniatające cielsko potwora wojny, prochowa woń czynu tłumiła przed nim zapach róż mistycznych, on nie miał czasu na zatapianie się w rozmyślaniach, czy Polska ma obowiązki względem ludów, czy jest ich orędowniczką wobec przyszłości, nie miał czasu wodzić oczyma po węzłach europejskich wydarzeń, bo miał wzrok całą siłą w jeden punkt wlepiony, bo — był na służbie.

IV.

A teraz z kolei, przyglądając się szeroko rozlanym wodom jego liryki, postaramy się wypatrzyć na nich tu i ówdzie rozrzucone wysepki jego myśli i przekonań. Szczupły będzie nasz materiał, ale może uda nam się z luźnych fragmentów ulepić choć potrosze świat jego poglądów.

Dajemy znów najpierw głos jemu samemu.

Słuchajcie, kiedy dziko, olbrzymio
 Skąły odrzucą piorunom wtór,
 I wiatr obudzi głosy, co drzymią
 W grobach, zwałiskach, i z pól, co dymią
 Krwią, w jeden straszny przeszłości chór.

Tem chciałbym jedną zczarować strunę,
 Drugąbym owił pączkami róż,
 I wszystkie żary, któremi płonę,
 Miłość, tęsknota, bóle zniesione,
 To druga struna przy stronie burz.

Trzecia... myśl rwie się, o wyrzec trudno!
 Jabym chciał całą harmonię sier,
 Schwycić na strunę, tonami ludną,
 Tak płynąć nocy krainą cudną,
 Myślą i gwiazdom nadając ster.

Rozwińmy tę myśl.

Dwie pierwsze struny — to życie. Na treść jego składają się dwa motywy, przeplatające się ustawicznie: cisza i burza. Wszystko jedno, czy mowa tu o życiu jednostki, czy życiu społeczeństw, czy przyrody nawet. Wszędzie obserwować możemy to nieuchronne następstwo zmiennych okresów. I pozornie tylko zdawaćby się mogło, że czas ciszy jest czasem szczęścia i rozkwitu, okres burzy dniami klęski i zniszczenia. Przeciwnie. Oba są zarówno życionośne i zarówno niezbędne. Szczęście, kwiaty, miłość, różane świty i rubinowe zachody, piękne to wszystko, ale długo samo trwać nie może. Niepostrzeżenie pośród woni róż nagromadzają się miazmaty zastoju, upadku i trzeba atmosferę od nich oswobodzić, jeżeli ma w dalszym ciągu trwać na ziemi życie. I tu się ukazuje błogosławione działanie piorunów i burzy.

To jest właśnie, co nazwało Romanowskiego filozofią burzy.

Całe dzieje ludzkości możemy rozpatrywać jako krzyżowanie się ciągłe tych dwóch elementów. Na tem rozwój, na tem dążenie wzwyż polega. A co będzie, gdy ostateczna burza przeminie?

Wtedy stanie na ziemi królestwo niebiańskiej harmonii, tej samej, która włada sferami gwiazdnymi.

A więc mamy już całokształt: teza, antyteza, zresztą nie z metafizycznego budulca wzniesione, a z trzech stanów uczuciowych, rzutowanych z serca na zewnątrz. Zasadą wieczystą świata jest zatem boska niezmienna harmonia. A burza nie jest harmonii antytezą, ale z całą swą potęgą jest jej podporządkowana. Kwadry cisz i burz to tylko igraszka na ziemskiej arenie.

Nad światem czuwa Bóg i jego anioły, które są właśnie stróżami harmonii przedwiecznej i na harfach grają przez wieki niebiańskie melodie. Kto się wzniesie ponad ów ziemski dualizm, dosłyszcy w przestworach to anielskie granie. Bywa tak w chwilach wielkiego natchnienia, w chwilach wybranych w życiu mędrców i poetów. Poezja bowiem jest „złotym szlakiem“ od ziemskości ku niebu, tęczę ponad obłokami w pogodę, a chmurami w burzę.

Trzecia strofa w przytoczonym wierszu jest właśnie strofą tych anielskich sfer. Ale słusznie zatrzymał się w niej poeta. Zadrzała mu struna: Tak; on czuje, że jemu w tych bezkresach oddychać najtrudniej, to też gwiazdom nadawać ster rzadko kusi się myśl jego.

Dlaczego Bóg, który jest Bogiem harmonii, rzucił ziemię w odmęt wiecznego rozdwojenia? Na to pytanie nie znajdziemy odpowiedzi u poety. Nie miał, jak wiemy, zamiaru dawać czytelnikom w poezjach klucza do swoich przekonań; musimy nawet ostrożnie podejmować i zestawiać owe luźnie nam przekazane cegiełki, abyśmy nie spolił ich w kształt obcy jego prostej duszy. Zresztą on, który już w dzieciństwie na nauki matki szedł niechętnie, z oczyma napół łzawymi, i potem, dojrawszy, nie nabrał gustu do konsekwentnego przemyśliwania swoich wrażeń. Piękne niebo krociąc gwiazd usiane, uderzyło kiedyś jego wyobraźnię wśród nocnej po stepie przejażdżki, i myśl na chwilę porwała się w górę, jak sokół. Skąd to wszystko? Co znaczy? Ale ją prędko skusiła do powrotu zalotnica-mgła nocna, co przywdziała kształty sunącej przez łan husaryi skrzydlatej...

Moglibyśmy czuć się upoważnieni do wniosku — z tej właśnie wychodząc niechęci do czysto teoretycznego ujmowania rzeczy przez poeetę, — iż ten dualizm na ziemi ustanowił Bóg, aby człowiekowi kazać czynami go przewyciężyć, a więc, że ma on charakter etyczny, powiedzmy dokładniej — pedagogiczny. Być może...

Jedna rzecz pewna: że człowiek, rzucony w odmęt ścierania się tych dwóch żywiołów, nie szamoce się beznadziejnie: I punkt, który tu podnoszę, skupia na sobie najwięcej światła z pomiędzy wszystkich poglądów poety; on wierzy niezachwianie w Opatrzność boską nad ludźmi, w zupełnie plastycznie dostrzeżalną pieczę anioła stróża nad każdą pojedynczą duszą ludzką,

więcej: we współpracownictwo takiego niebieskiego opiekuna w każdej najdrobniejszej czynności człowieka, w każdej najbardziej bagatelnej sprawie: Niestety! ludzie nie zawsze pamiętają o tem:

patrzysz w to życie,
 Jakby cię przez nie nie wiódł anioł Pana,
 On cię prowadzi i ciernie z twej głowy
 Zbiera i zmienia na wieniec liliowy.
 Ale dziś serce twoje oddaj Panu,
 On ci je wróci tak, jak wraca z ładu
 Rolnikom ziarna, ze stokrotnym plonem;
 On ci je wróci czyste, beznamiętne,
 A miłujące wszystko, czasem smętne.

Ostatnie dwa wiersze mówią nam, jak wygląda ideał człowieka dla Romanowskiego, wzór, według którego radby urobić swoje własne serce, a mianowicie: ufność, miłość i beznamiętność. Ten motyw przez jego melodyę uczuciową przeplata się bezustannie, i jest często tonacyjną nutą jego erotyków. „Stań się beznamiętną, choć ból szarpie ducha“, tak żegna po raz ostatni swoją ukochaną, idąc w drogę burz. Radby jej ofiarować przy rozstaniu ów kwiat czarodziejski, który maleństwu w kołyskach daje sny o aniołkach. Tak, ale on wie, niestety, że takie kwiecie na ziemi tylko dzieciom rośnie... I sam skarży się na siebie, że mu marzeń tęcze złote zasnuła mgłami namiętność. Więc chce zmiąć w gniewnej dłoni rozpalone serce, wierzy, że tak dobrze, że tak właśnie... I tak powinna czynić cała ludzkość.

A oto szkic jego prostiej „historyozofii“:

Był kiedyś okres szczęśliwości niezmaconej w samym poranku życia ludzkiego plemienia. To była pierwsza cisza, zanim się zebrało na pierwszą burzę. Był to okres życia bez powikłań, życia rolników, jak powiada poeta, i lemiesz był wówczas symbolem gołębiego społeczeństwa, zanim lemiesz miecz nie wyrugował. Poeta z zamiłowaniem zapuszcza się myślą wstecz, w głąb dziejową, i tylko wzdryga się, gdy wspomni, jak krwawym szlakiem szły losy ludzkości. Staje odrętwiały wobec widma okrucieństw, bratobójczych walk, topi się we łzach, gdy ujrzy, jak „pękały serca pałające“ olbrzymów, którzy zapoznani, niepojęci przeszli pośród tłuszczy, zbyt wysoce, aby mogli marzyć o wdzięczności lub o zrozumieniu. Dziś za to błyszczą nad dziejami jako świetlane „posągi-imiona“.

Ma Romanowski w tej historyozofii i własną teorię bohaterów, zahaczającą zresztą jednym zębem o mesyanizm. On wierzy, że duchy tych olbrzymów po śmierci nie gasną, lecz błądzą po gwiazdach, służąc jeszcze dalej ukochanej sprawie, i one to, te duchy, rozświetlające na promień stuleci wokoło siebie posępną

noc dziejów, wyproszą kiedyś u niebios ostateczne nastanie końcowej harmonii.

Ale kiedy? Jak daleko jesteśmy jeszcze od świtów? Tego poeta nie mówi. On wie tylko niezbitie, że z czasem znowu miłość burzę przewycięży, a wtedy przekujemy powtórnie miecze na lemiesz. Okres zatem ostatni, okres wskrzeszonej szczęśliwości, gdy harmonia niebieska spłynie na ziemię i całą ją przepoi, ten okres znowu będzie — jak owa pierwsza u początku drogi sielanka — erą rolnictwa i braterstwa przy pługu.

Nie szkoda więc trudów i krwi proroczej, nie szkoda wieszczych nawoływań poezji, bo pieśń zbudzi mścicieli, którzy pójda z mieczem. I w tej wierze jest Romanowski bezwzględny wyznawcą romantycznego katechizmu.

Do lotu, ptaków wybrana drużyno!
Lata przeminą, głosy nie przeminą,
Ni szlak nasz złoty do słońca;
Szkielety nasze niby drogowskazy
Ślad im oznaczą do cudnej oazy,
Gdzie panią — miłość bez końca.

Jest to więc przeczucie tej samej epoki, o której ślicznie Asnyk mówi, że

bohaterstwo dawnych dni
Uświęci w walce ostatniej,
Gdzie miłość zmaże plamy krwi
I uścisk zwycięży bratni.

Ciekawe się tu nasuwa pytanie, czy ta burza, do której przysposabiał duchy i w której zginął Romanowski, czy rok 63-ci, o którym często mówił, że po nim nastąpi w Polsce cichy okres pracy przy pługu, czy ten przełom identyfikował się w jego myśli z owym ostatnim przewrotem, który stawiała mu przed oczyma jego filozofia burzy? Ciekawe zaś jest to pytanie dlatego, że wyjaśni nam, czy on z wiarą zwycięstwa rzucał się w ogień, czy tylko uważał, że przechodzimy teraz poprostu — jak już bywało i jak jeszcze będzie — z jednego z dwóch zwykłych znaków w drugi? W takim razie powstanie 63-go roku nie byłoby spełnieniem proroctw naszych wieszczów, a tylko przed niem jeszcze nieprzewidzianą w programie próbą sił naszych i ducha, a wtedy, jak zaznacza w swoim studium p. Baumfeld, konieczne byłoby dla podniesienia tego ducha, dla oczyszczenia atmosfery polskiej.

Są wiersze wskazujące, że on tak właśnie przygotowując się walkę rozumiał (*Audaces iuvat fortuna*) i może gorycz najsmutniejszych chwil życia z tego płynęła ukrytego źródła. Rozstrzeliły mu się myśli i nadzieje, które chciał sercem w jednym

skuć płomieniu... I tem rozpaczliwszym ruchem w śmierci drogę się cisnął, bo zawiedzione sny na proch starłyby serce.

Zresztą -- znowu — nie bądźmy nazbyt skrupulatni w snuciu logicznym przedzy jego ducha. Do takich natur, jak jego, nie można przystępować z nożycami, któreby każdy akt psychiczny przecinały bez zadrzenia na pozycję i negację. U tych najszlachetniejszych ludzi, tak, jak on, którzy sercem żyją, sercem działają i sercem umrą, motor czynów na dnie duszy stoi zwykle w mgle. Kto wie? może on sam nie wgłębiał się zbyt w ten dylemat, może miał okresy pewności i okresy zwątpienia, w których wszakże innym niemniej donośnie wołał: do boju! właśnie ze względu na moralne korzyści burzy. Jako wykonawca woli wieszczęj wierzył stanowczo, jako jednostka nowa i swój własny system myśli wznosząca uważał krok ten za dziejową konieczność, a może jeszcze i ufał, że nie ziszczenie się przeznaczeń spisanych w księdze mesyanicznej, lecz nasze osobiste zasługi sprawę rozstrzygną i dlatego z ogniem zapewniał, że mężnym los sprzyja.

Niewiele już z myśli szerszych zostało do zapisania.

Raz jeszcze ze szczytu Czarnej Hory świat rozłożył się szeroko przed jego wzrokiem i przed jego myślą. A wtedy światek człowieka rozprysnął się gdzieś dziwnie nisko u jego stóp.

Kędyż chaty człowieka? gdzie sławne cmentarze?
Zniknęły roztopione w zielonym obszarze,
Ni chat, ni grobów sławy oko stąd nie sięga.

Oh! smutne to, przeczuwam, — i my w czasów dali
Rozpłyniem się tak samo w nic i zapomnienie.
Nikt nie wspomni, że żyłim tu, żeśmy kochali;
I wędrowiec tak kiedyś rzuci stąd spojrzenie,
A nie dostrzegłszy okiem ni chat, ni cmentarzy,
O tem, że wszystko niknie, posępnie zamarzy.

Jego myśl tak żyła wiecznie wśród oddechów śmierci, czy z cieniem zgonu własnego, czy z duchami zmarłych, iż o zawrót przyprowadził go widok ze szczytu, nie przeto, że bezkresny taki świat dokoła, ale przeto, że z niego nie widać cmentarzy. A jednak życie odniosło tu na moment nad młodą duszą zwycięstwo, piękność i swoboda przestworów powietrznych oczarowały ją i zagarnęły: „Lećmy! serce me czuje pomnożone życie, Gdzie spojrzę, wszystko moje, — mój ten świat zielony!“. Jedyny to zresztą przykład podobnych wrażeń w stosunku do przyrody, powiedzmy, opierając się na naszym podziale, jedyny przykład opiekania jej na trzeciej stronie.

V.

Przyjrzyjmy się teraz Romanowskiemu w zwierciadle innej kwestyi, która często odwiedzała myśl jego i twórczość. To kwestya przeszłości i przyszłości kraju. Już nam pokazał, jak przeszłość kocha. Raz bardzo ładnie o tem powiada:

Myśl, jak łabędź na dalekiem morzu,
Rozłoży skrzydła po błękitnem łożu
I chętnie w przeszłość nurza się i tonie.

Z drugiej strony skarży się kiedyś, że „gdyby nie ta twarda wiara w przyszłość, co trzyma w żelaznem objęciu pierś, jużby dawno była śmierć. Przyszłości ręka koi serce w bólu, toż nie pęka“.

Uciekał wyraźnie od dni swoich, których ciężar był nad siły jego, i dwoje skrzydeł miał, by od nich odlatać. Twórcza wyobraźnia jego zatapiała się w przeszłość, jak nurek w głębie oceanu, i wynosiła stamtąd w połowie drobne perełki — pomysły do historycznych powiastek. Wszystkie one były według słów jego własnych: „przepleceniem wieści o ojcach i czynów przeszłości minionej, złotemi snami i myślą pajęczą poety“. To skrzydło tęsknoty. A drugim, które o przyszłość się wsparło, było skrzydło zapału. Cały młodzieńczy ogień jego duszy, cała męzka struna energii i inicjatywy gnały go w przyszłość. Piękny duch Romanowskiego to dwugłos tęsknoty, patrzącej wstecz, i żądy czynu płonącej, patrzącej przed siebie. Zlewał te dwie melodeje w akord bez trudu, bo, jak nam powiada, cofał się za siebie tylko po to, aby móżdż z wiarą patrzeć w mogiły.

Tak Romanowski bezsprzecznie przeszłości, gwoli jej samej, przez pragnienie wskrzeszenia jej kształtów, nie kochał, obruszyłby się i słusznie, gdybyśmy mu zarzucili w oczy konserwatyzm. Należąc do partyi „rewolucyjnej“, t. j. do powstania rwaćcej, miał u współczesnych swoich miano radykała.

Inna rzecz, czy my mu to miano nadamy, rozejrzawszy się po jego poglądach społecznych. Otóż to — nie. Był przedstawicielem najsympatyczniej myślącego odłamem społeczeństwa polskiego w piątym lat dziesiątku, owej czerwonej młodzieży, która pierwsza wyzwalała na bój polskie zaprzaństwo. Demokrata w najistotniejszych odłamach duszy, czciciel bezwzględny wolności i zapaleniec, gdy można było w imię tej wolności działać, przypomina nam z szerokiego oddechu Schillera, od którego tak, jak i od niego, gdyby był żył dłużej, miłość wolności biła młodzieńczością po ostatnie chwile. Rwanie kajdanów, które więżą ludzkość i tryumfalne wzejście jutrzeńki swobody to było dla Romanowskiego zarazem zakłęcie piękna tego świata nieśmiertelnego

tak, jak ludzkość sama. Więc był rzeczywistym, z realnego świata idącym bratem postaci, które się urodziły w świecie wyobraźni: schillerowskiego Posy i schillerowskiej Joanny z Orleanu.

Niewiarowski, pisząc o jego tragedii „Popiel i Piast“ (Tygodnik ilustrowany r. 1862), powiada, iż przez cały ciąg płynie jeden czysty strumień miłości ludu i piękna. To prawda, dodajmy jednak, że ludek nieco tam sentymentalny, ukostyumowany potrosze, a Piast i jego rodzina mało do naszych dzisiejszych kmiotków podobni. Identyczna sympatya z przymieszką sentymentu w wierszu p. t. „Chata górską“. Taki lud nie z roli wyrasta, ale z literackiego się wywodzi rodu, który ma za protoplastę pierwszego: Wiesława.

Romanowski zresztą na całe społeczeństwo polskie patrzy przez szkła tkliwego, a naiwnego afektu i nie ma zmysłu dla różnic socyalnych. Zgoda w imię wspomnień wspólnych i wspólnej nadziei jest tem pierwszym podłożem, na którym kontrasty — objaw późniejszy — nie mogą już się odciąć zbyt surowo. Przypomina się nam uparcie Ujejski, jego demokratyzm i jego marzenia o ogólnej miłości. Poglądy obu mają zabarwienie takie, jak gdyby się snuły kędyś na uboczu świata, gdzie nie dochodzi wichura pędzących wiecznie naprzód wypadków, niema w nich ani nerwu walk, zwycięstw, szamotań, ani gry barw, które co dnia dech Europy zapala i gasi, ani nawet piętna chwili, która je wydała.

Nie lękajmy się wyrazu: socyologia większości naszych poetów, pełna najszlachetniejszych uczuć i pogodna, wygląda zlekka prowincjonalnie.

Myśl polska, jak wiemy, z natury jest gnuśna, pierwsza rzadko idzie na spotkanie nowych idei, zwykle odwrotnie trzeba jej z zewnątrz, od samych tych idei ostrogi. W biegu swej historii, zwykle w domu zamknięta, doznała jednak kilku wielkich magnetycznych zderzeń z duchem Europy i pod nagłem wstrząśnieniem iskry zachodniej, wybuchała z nienacka gigantycznym płomieniem. A były takimi wybuchami: humanizm polski, imponujący wprost w czasach Zygmunów, racjonalizm i radykalizm końca XVIII-go wieku, który podwójnie, bo umysłowo i etycznie stanowi Polski chlubę, potem romantyzm; wreszcie pozytywizm.

Niestety, w romantyzmie zbratanie z duchem zachodnim szło górą, spodem płynęły zwykle, senne wody. Winien tu już sam ton tegorazowego zbratania, bo siedł przez serca zamiast, jak rewolucjonizm francuski za Stanisława Augusta zarazem i elektryzująco na mózg działać.

A kiedy romantyzm polski nad gmachem poezyi wzniósł sklepienie mesyanicznej filozofii, znalazła się myśl polska znągła w zamkniętej szczelnie świątyni, i zapomniała o dalszych horyzontach. Ci, co świątynię stawiali, znosili na nią budulec z naj-

ogólniejszych myśli i uczuć, ci, co się do niej przychodzili modlić, objali się wzrokiem o zamknięte ściany.

Przekonania polityczne Romanowskiego moglibyśmy podciągnąć pod zwięzły nagłówek: solidaryzm patryotyczny, a za ilustracyę jego najwymowniejszą podać wiersz „Trzy sztandary“. Gdy się te trzy sprzecają, który ma iść przodem, ptak biały, wysoko nad nimi zawisły, tak boleśnie wzdycha:

Mocny mój Boże!
Gdziezby to oni zaszli już byli,
Gdyby z trzech jeden sztandar zrobili.

Oto dlaczego, patrząc na Romanowskiego, nie możemy usunąć z przed wzroku tych kilku dziesiątków lat, które nas dzielą, a w których stanęła kołyska nowych, jemu jeszcze całkiem nieznanach idei.

Sądziłibyśmy napozór, że wizya rolniczo-pastoralnej przyszłości każe nam szukać w Romanowskim czciciela ludowładztwa, a jednak — znowu Ujejski — to sielankowość tylko, to powrót do pierwszej idylli piastowskiej, bo dzieje Polski są tu powtórzeniem dziejów całego rodu ludzkiego. Widać wprawdzie w poecie uprzedzenie do warstw t. zw. „najwyższych“; nie tajne mu, że gangrena zżera je do kości, że dom ich, jarzący światłem, otwarty gościnnie dla wroga, a jednak Zoryan, młody budzieli, który kraj cały przed walką przebiega, pałaców magnackich w drodze nie pomija. Wszystkich pociągnie, tak ufał zapewne, wierzymy wszakże, że po nocy balowej, gdy spotkał się oko w oko z najeźdźcą — wodzirejem, już tam więcej nie powróci.

Wogóle wyprawa Zoryana, to najżałośniejsza karta poezyi Romanowskiego. Bo i z chat nie z pomyslniejszym powrócił płonem. Ściskali go młodzi i płakały matki, lecz gdy iść za nim trzeba było i chaty rzucić, kilku się ledwie w gromadzie znalazło, co nad zagon własny przeniesli gorące Zoryana wezwanie. Boleśne i niestety, wtedy jeszcze prawdziwe...

Tylko z jednych cichych dworków wyniósł budzieli te słowa, jak balsam kojące: „ja i moje syny, i cały dom mój, i wszyscy z rodziny... i kilku chwatów z gawiedzi, a za mną pójdą i bracia sąsiedzi...“ Pewnie, że tak było; poszli z dworków odegrać swój finał dziejowy, który się nazywa styczniowem powstaniem.

A jednak nie przypuszczamy, aby tu tylko znalazł Zoryan „czyste krople pośród mętnej fali“, jak nigdy nie przypuścimy, aby tu był złoty środek jego przywiązań i myśli. Przecie niepodobna, aby on, który tylekroć w sukmanie Żuczka szedł między lud, chodził tam tylko, by szukać rekruta. Lecz on był z tych natur dziecięco-szlachetnych, które wierzą, że nastrój dusz, gdy je miłość prawdy i sprawy ogarnie, już sam przez się uniemożliwi

wszystkie krzywdy i uciski. Nie potępiał szlachty w stosunku do gminu, bo mu wszystko ozięcał w sercu patryotyzm.

.

Trzy są w poezji naszej rodzaje patryotyzmu.

Można być ojczyzny cierpiącej ojcem, kochankiem, lub synem. Konradowi jednemu danem było na ciąg jednej nocy natchnienia i męki być razem jednym i drugim i trzecim, przytulić ją do łona, jak przyjaciela, małżonek, jak ojciec. Ale już po tej nocy był Mickiewicz tylko przeszłym i przyszłym pokoleniom ojcem. Jak ojciec dziecię uczył naród w Księgach pielgrzymstwa pacierza, jak ojciec dziecię do życia sposobił, i jak ojciec w czynów świat sam go wprowadził.

Słowackiemu Polska była ubóstwianą i piękną kobietą. Miał chwile najrzewniejszej dla niej tkliwości, gdy płakał na widok zórawi, które od niej płyną, czasem egzaltował się w jej ubóstwieniu, a czasem jej krwawe obelgi w twarz ciskał i potępiał i wyklinał, lecz przeto lżył tylko, że namiętnie kochał. I dopiero pod schyłek smutnego żywota i on, cichy, poszedł między narodu ojce.

A Ujejski, a inni? Oni, ci mniejsi, wszyscy byli, jak owa przedpowstaniowa młodzież, o której mówi Asnyk, że widziała przed sobą „cudowną postać w złotej gwiazd koronie, w niepokalanej czystości i bieli, z twarzą podobną do Najświętszej Panny“. Polska była dla nich jedną ze świętych niebieskich, albo poprostu jakąś w błękitach królową. Lecz kiedy śpiewali do niej, to głosy ich wznosiły się dziecięco, jak do matki. I zdaje się, że wolno uogólnienie takie postawić, iż romantyzm, gdy u zenitu stał, mógł po ojcowsku mówić do ojczyzny, majestatu dosyć miał, by ją traktować jako córkę swoją, a także dość był pięknym, silnym i zuchwałym, aby z niej swoją uczynić kochankę. Lecz (czy nieco nie na przekór logice?), starzejąc się i słabnąc, spokorniał i przycichł, więc modlił się do niej, niby do niedostępnej na niebie Madonny, albo, jak dziecię, skraj jej szat całował.

I znowu Asnyk dopiero, po powstaniu, zmienił poezji do Polski stosunek. On znowu był z tych, co duszę narodu wzięli w czułe dłonie, aby ją tchem swym jako kwiat hodować, aby w nią wszczeplić swoje myśli i nadzieje, aby jej wskazać nowe idei drogi, u których kresu zorzą lśni zbawienie. Asnyk, jeżeli nie był Polski ojcem, to był z najwyższych, z najszczytniejszych Polski wychowawców.

Nie potrzebujemy wskazywać, gdzie Romanowskiego miejsce, jego, co z zawiązanymi, jak twierdzi, oczyma trafiłby bez zawahania ręką od jednej do drugiej rany, którą „matce wroga dłoń zadała“.

Jesteśmy tu o miedzę od jego przekonań religijnych.

Jest wiersz jeden, w którym i on przybiera ton już nie syna, ale wychowawcy własnej swojej matki. A jak rozumnie, poważnie i godnie przemawia do tej istoty, przybitej przez męki, a co więcej, przemawia inaczej, niż kazał romantyzm. Godzina gromów idzie, tak powiada, więc „czuwaj Polsko, byś nie przeszła“. Nie tylko ciekawy tu pogląd, że nie od niej, a z poza niej wyjdzie czyn dziejowy, a ona ma tylko, jak w muzycznym zespole, wiedzieć i pamiętać, kiedy wpaść w tok dziejów, ale i ciekawe także, dlaczego grozi niebezpieczeństwo, że Polska przeszłszy? Bo Polska się modli. Bo Polska żałobę swoją obnosi po kościołach, bo jest obawa, że Polska zostanie dewotką. A wtedy biada jej, mówi syn, którego głos w tym momencie bynajmniej nie po dziecięcemu brzmi, lecz nutą dojrzałej, pewnej siebie męskości — bo wtedy już ją bez wyjścia obca ścisnie prawica. Dziś jeszcze pozwala się jej modlić młody, ale po to tylko, aby ostateczne z sumieniem swem przed czynem ukończyła porachunki, a niech pamięta, ku Bogu wnosząc swoje serce, że ten Bóg nie skarg i płaczu, ale czynów Bogiem.

Ten wiersz przynosi zaszczyt Romanowskiemu, jego rozumowi i jego powadze.

Szło mi zarazem o pokazanie tych dwóch pierwiastków ze świata religijnego naszego poety: po pierwsze, że religię rozumiał on tylko jako podnoszenie się i doskonalenie moralne, powtóre, iż czynna jego natura i tu się wypowiedziała całkowicie, gdy wołał, że czynom i energii, a nie litaniiom i wzdychaniu sprzyja Bóg.

VI.

Prędko przesuniemy się poprzez erotyki, bo w nich silnie gdzieindziej napięta cięciwa łuku poezji jakby obluźowuje się i opada. Jedno nas przyciąga do tej liryki miłosnej: prosta serdeczność, jedno wystarcza, aby nas oddalić: zbytnia codzienność. Wprawdzie uczucie samo wtopione w wiersze, nie jest szare, ono jest zawsze jak złoto szlachetne, chwilami wdzięczne, jako polne kwiaty, a takie czyste, jak źródłana woda, czasami tęskne, jak zmierzchy jesienne, i poświęcenia pełne do zaparcia, a zawsze w imię wyższych ideałów, tylko — że artyzmu w nich ani litery.

Nie wińmy o to poety, tu nie jego świat. Ta miłość była w jego życiu tylko słoneczną niedzielą po tygodniu trudów żołnierskich. Sam mówi do bohaterki swojej miłosnej liryki:

serce ledwie trudom się wykradło,
Biegło do ciebie i u stóp się kładło.

Twórczych sił jego duszy pójdziemy szukać gdzieindziej, tam, gdzie on sercem światło boże zmienił w morze płomieni. Co to znaczy? To znaczy, że wszystkie świata głosy grają hymn bojowy. I poezya tem wyższa, im donośniejsza dźwięczy w niej pobudka. Mickiewicz pierwszym zostanie na wieki, bo był największym z między budzicieli, bo pielgrzymom słowo boże wyśpiewał, „a tak wspaniale, a tak bojowo“, że niema, ktoby po nim mógł być wodzem.

Pieśni bojowe Romanowskiego młodym zapałem umięją nieraz zdobyć prawdziwą wartość. Tak, jak jego pieśni bólu gorącym uczuciem. Lecz nigdy przez artyzm.

Tu krótka dygresya.

Z bliskości, w okresie romantycznym, nie tylko naród, nie tylko ogół widział w poetach armię polską, wojsko powstańcze, w Mickiewiczu Kościuszkę, w Wallenrodzie, Tadeuszu, Irydynie surogat chorągwi bojowych, orłów i pogoni: niewiele więcej widziała w nich i sama śpiewacza drużyna: Ujejski, Romanowski i wszyscy mniejsi lub późniejsi czuli tylko, że pieśń brzmiała bojowo, więc pieśń była świętością. Że pieśń złała na Polskę całe morze promieni, że rozświetliła ją tęczą nieziemskiego piękna, że roznieciła tak cudowne słońce, iż przez nie ta ziemia całe wieki będzie stała w blasku, o tem naród polski ni polscy pieśniarze nie wiedzieli zgoła. I dopiero zimny, suchy pozytywizm, dopiero ta druga wyblakła epoka, która hasła romantyków, z krwi ich własnej, niby z koralu toczona, z drwiącym uśmiechem na bok odłożyła, dopiero ona miała wolną głowę, aby dokonać wielkiego odkrycia, że te przebrzmiałe, wysmiewane hasła nosiły szatę z pięknych najcudniejszą. Więc ona, co je przestała przed czynem jako modlitwy powtarzać, musiała oczy przymknąć przed olśniewającą falą tego światła, którego sama, zimna, w ziemię wpatrzona epoka zrodzić z siebie nie była zdolna. Musiał romantyzm przestać być biblią, księgami prorockimi, aby stał się źródłem rozkoszy artystycznej. A czyż nie dzieje się tak samo z wszystkimi księgami świętymi? Postradawszy wyznawców, — którzy swą wiarą najwyższą czynią im krzywdę, bo na ich piękno są głusi i ślepi, — idą z władzy losów na łaskę badaczy, mędrców, niedowiarków, i z ich rąk, na miejsce zwietrzałej świętości, otrzymują dyplom na utwory piękna.

Musiała Polska spaść z wyżyn natchnienia, by przejrzeć, że posiada poezję, która ją stawia w rzędzie najpierwszych narodów świata, by zrozumieć, że ta pieśń to większy jest tytuł do sławy, niż tysiące zdobytych pohańskich sztandarów, niż rycerskie trofea Rzeczypospolitej. Gdy polityka wieszczych natchnień rozwiła się w puchy, odkryliśmy we własnym skarbie niespodziankę — piękno.

Ale epoka, która natrafiła na tę żyłę złotą, zanadto była zajęta miedzią i żelazem, aby się w blaskach swoich odkryć

pławić. I dopiero my, dzisiejsi tę cudną i świętą bóstwa zasłone posiadliśmy niepodzielnie w nasze ręce. I dlatego dziś dopiero w całym blasku zakwitł nam Słowacki: zbyt piękną i klejnotami błyszczącą miał szatę, aby nie odciągnęła uwagi współczesnych od szczerości jego pobudki bojowej, zbyt wzbił się wysoko, by ołowiane skrzydła pozytywistów umiały mu sprostać.

Domyślamy się, że i Romanowski nie był twórcą-artystą. „Jak chmura słońce, zar osłaniał mową“, to znaczy, że pod szatą językową kryje się słońce jego uczucia, płonące ognisko, które przeziera przez szarzyznę chmury i krasí ją czasem rumieńcem, sama jednak szata jest mglista i bez blasku. Z rodzaju talentu wszędzie, tylko nie w Polsce, byłby piewcą jasnej, rwącej się w życie młodości. Gdy go los stworzył pieśniarzem narodu nie-szczęśliwego, człowiek dorósł do misyi, nie dorósł poeta, stąd brak często współbrzmienności formy i uczucia.

Nie idziemy w tej poezji do krynicy piękna, lecz ogrzać się uczuciem wzniosłej jednostki. Sam to znać czuje, gdy powiada:

Ja wiem, pod jakim ja zrodzony znakiem;
Mój duch nie kwiatem wonnym, ale ptakiem.

Kwiaty, bo kwitną li gwoli rozkoszy...

Poezya nie jest dla Romanowskiego sztuką piękną. Nie tworzy, by piękno dał, lecz, gdy uczucie sercem zakolące. Zapytany, jaki świat reprezentuje w społeczeństwie poezya, odpowiedziałby: świat etyki. Świat uczuć szlachetnych, miłości szczytnych, możność zbudzania świętego zapału dla dobra w ludziach — oto, co na ziemi ma jako rzeczniczkę najlepszą — poezye. A piękno? On nie ciekaw, jak się zdaje, sztuk — siostrzyc poezyi, i nie czuje się krewnym artystycznej braci. O miłości mówiąc, odrzeka się głośno: ja piękności nie kochałem. Kochał pewnie zalety rzadkie duszy, ale my uogólnić możemy odrazu: nie rwie go tęsknota do słonecznego państwa Apollina. Artystę, co się żali, że niepojęty jest od tłumy, pociesza myślą, że od tysięcy niepojęty jest mistrz nad wszystkie ziemskie mistrze wyniesion, a to chyba boleśnieszce po stokroć. Nieobecność artystycznego zapału i kultury każe nam raz jeszcze spojrzeć na Ujejskiego, tylko, że tu brak muzykalności, tam całkiem wybitnej, opłaca większe nieco urozmaicenie pejzażu przy mniejszej zresztą jego nastrojowości.

Jeden wiersz się odcina, odskakuje od reszty tak dalece, że zapowiadać się zdaje wyższego rzędu poetę, tylko, że niestety, już się nie miało powtórzyć to szersze zatoczenie skrzydeł. To anioł upadły. Odwiedza nas w nim rzadki u poety gość — fantazyja, a lotność myśli pięknie zlewa się z poważnemi barwami malarzkiej palety. Nie jest ten wiersz wprawdzie dziecięciami wyobraźni Romanowskiego. Musiał poeta raz wyjrzeć myślą, czy lekturą na Europę, tak, że cień Byrona, który majaczył mu czasem, jako

chętny towarzysz bawiących się w Weltschmerz młodych pieśniarzy, tutaj uderzył myśl jego, jako geniusz twórczy.

Jednak nie wyzyskał tematu do głębi. A miał tyle motywów, by osnuć na nich własne waryacje! Miał przepotęę miltonowskiego Szatana, który w gniewie swoim Stwórcy świata dorasta i jako równy bóg cieniów obok równego boga światła staje. Miał byronowskiego Lucyfera, który jest symbolem wszelkiej myśli do swobody i światła się rwącej, jest opiekunem ludzkiego rodzaju i przez cierpienia swoje jest nam bliższy, niżli duch dobra, sztywny i zastygły w swym majestacie. Ale pierwszego Romanowski nie stworzył, nie miał dość potęgi, drugiego nie odczuł, bo nie był szermierzem myśli — buntownicy, nie był, mówiąc krótko, intelektualistą. Był jeszcze motyw trzeci i tego kiedyś chwyci się Carducci, uczyni szatana szermierzem walki o wolność polityczną¹⁾. Toby się zdało blizkie dla Romanowskiego, on mógł i swego Anioła wciągnąć w krąg swojej zwykłej walki o byt wolny. Nie zrobił tego. Owszem, powiedzieć możemy, że jest to jedyny jego wiersz obiektywny. On wybrał poprostu biblijny ułomek, wziął w rękę pędzel na byronską modłę, podmalował kraj-obraz barwą Ruisdała, ale myśli żadnej na jego tło nie rzucił. I raz jeszcze, jeżeli wiersz ten ma cenę, to przeto, że tu malarzowi sekunduje poeta, że anioł moc ma, siłę i powagę, tak, że gdy olbrzymiem skrzydłem żagluje po niebie, to się w istocie w duszach widnokrąg zaciemnia.

Gdybyśmy chcieli mierzyć szerokość kręgu twórczego Romanowskiego, na średnicy pośrodku znalazłyby się liryki jego mocne i gorące, na jednym krańcu Anioł upadły, na drugim Dziewczę z Sącza. Wewnątrz samej twórczości poety Dziewczę, jak Anioł, jest niespodzianką, a dla literatury naszej całej jest etapem. Tak je przynajmniej rozumiemy my dzisiaj z perspektywy lat. Inaczej jednak sądzili współcześni. Zmorski zarzuca obniżenie lotu. Poezie nie wolno spadać na poziom, chyba, że już dłuższy rekord jazdy powietrznej wytrzymał. Zmorski się żali na ujemny wpływ, jaki „Pan Tadeusz“ na literaturę polską wywarł, sybarytyzmu nauczył poetów, nie chce im się latać, woła się wygodnie po ziemi przechadzać. Ale niechże nie zapominają o tem, że ten, kto pisał „Tadeusza“, już przedtem „Grażyną i Wallenrodem“ na zmianę lotu zasłużył, a ci młodzi, nie odwiedziwszy ni razu obłoków, rozgospodarowują się na ziemi. I przykre zwłaszcza, gdy to uczynił Romanowski, poeta podniosłością natchnień dotychczasową inne pozwalający stawiać horoskopy. Zrobił więc Romanowski Zmorskiemu zawód przykry... A dzisiaj właśnie to, co tamten ganił, na szalę zasług poety się kładzie i słusznie prof. Brückner

¹⁾ Szczegóły te wzięte są ze studjum Ign. Matuszewskiego „Dyabeł w poezji“.

nas oskarża, że tego mikroskopijnego mieszczańskiego „Pana Tadeusza“ dosyć nie cenimy.

.

Gdy już znamy bliżej młodego poetę, niech go ciekawość nasza na chwilę odetnie od tła dziejowych i wieszczych przeznaczeń, z którymiśmy go sprzęgli na początku, a biorąc go tylko, jak jednostkę twórczą, niechaj postawi przed nami dylemat, co by też było z niego w dalszym ciągu, gdyby był przeżył ogień powstaniowy?

Kilka hipotez zaraz się następuje.

Pierwsza, że teraz dopiero dojrzałby, ocknął ze swego snu grobów, czy snu na grobach, z zaczarowanego koła marzeń, przejrzał dysproporcję świata swojej myśli, że światem rzeczywistości, konieczności żelaznej i może właśnie wtedy, w bólu, któryby zakotłował nim do głębin, zmęźniał nagle, urósł, stał się słońcem nowego dnia poezji polskiej. Czy mógłby stworzyć „Dziady“ 63-go roku? stać się Konradem drugiego powstania?

Druga hipoteza wychodzi z pewnych żądań trzeźwości, które nas zadziwiły w młodym poecie w okresie przedpowstaniowym, kiedy mistycyzm stanowił program dnia dla myśli polskiej. Więc może z tego da się wysnuć wniosek, że umiałby się pojednać z nową epoką i rozciągnąć na nią dalej wszczęte pasmo swych rozumowań o burzy i ciszy. A w takim razie musiałyby nabrać tężyzny umysłowej i apostołować nadzieję i cierpliwość, jak przed wybuchem apostołował burzę i pioruny. Jeżeli w pierwszym wypadku byłby jedynym romantykiem popowstaniowym i dla niego trzebaby było zmienić mapy nieba polskiej poezji, to w drugim razie doczekałby się druha w Asnyku, i obaj staliby jako dwie palmy-pustelnice na tle jałowej epoki popowstaniowej.

Wreszcie trzecia hipoteza. I bodaj ta miałaby najwięcej za sobą szans urzeczywistnienia. Nasz Romanowski zostałby się sam, wytracony, wykolejony, z ziemią z pod stóp wydartą i albo serce jego pęknięte, nie miałoby już siły na wydanie z siebie choć jednego tonu, albo — wbrew hipotezie pierwszej — nie spotęźniałby, a zmalał, został, jak Ujejski, szmerem dawnej fali, zamknął się sam w sobie i bez echa zginął. Najwyżej, gdy zgłuchły jego pieśni, mogłyby być powstać czyny jego.

Nie śmiem stawiać lekkim ruchem wniosków ogólnych, jednak ku temu trzeciemu pogładowi spojrzenie w serce poety mnie skłania. Są dusze poetyczne, które, jak żdźbło trawki, uczepią się każdego gruntu najjałowszego, skały nagiej nadmorskiej, smaganej wicherami, rozpadlin górskich, obślizgłych, które nie zaznają promieni słonecznych, i wszędzie zwyciężkie, niosą ciepło życia, wbrew wichrom, śniegom, skwarom, lub mrokowi. Są inne, które rozkwitłe zielono, zółkną i giną, gdy inne powietrze damy im dla liści. Są poeci, którzy sami snują z siebie piękno, ozłacając niem

ciemność i głuszę dni swoich, są inni, którzy piękno, jak powietrze, czerpać muszą z zewnątrz. I chyba wśród tych drugich stanie Romanowski.

Dlatego sędzę, że zmiłkły po walce, a może wtedy smutna jego dusza weszłaby, jak podanie arabskie powiada, w jakiś tęskny i cichy, bladły kwiat stepowy, nad którym on sam, kiedyś, w chwili przygnębienia, jak nad blizkiem, siostrzanem sobie sercem płacze.

* * *

Niniejsza praca wsparta jest u podstawy na dwóch uczuciach: żalu wobec opuszczonej mogiły i chęci zaludnienia naszego Panteonu jednym więcej cieniem. I jeżeli znajdzie się ktoś, ktoby po tem skromnem preludyum mojem zechciał zajrzeć głębiej w wyprowadzoną na światło na tych kartach duszę, jeśliby — czego ja nie czynię — z cyrkiem i wagą przystąpił do odświeżonej w pamięci puścizny, jużby obu życzeniom mym się stało zadość. Zresztą on sam, poeta, żądał tak niewiele:

Jeśli polegnę, niechaj mi w nagrodę
Za was nie kładą pamięci kamienia,
Ziemią niech piersi przysypią mi młode,
Mój kurhan niech mi trawa ozienienia,
A gdy majowy deszcz ten kurhan zrosi,
Niech nad nim ptak się jak mój duch unosi.

A kiedy, przypomniawszy sobie „ptaszynę, co śpiewała“, wsłuchamy się w jej pieśni, wstanie nam w sercu dla śpiewaka wdzięczność. Idea może być z dnia wczorajszego, lecz miłość i zapal są wieczne. I pragnienie wolności jest wieczne, jak ludzkość. A nam tak dziś trzeba pieśni, co głoszą miłość, zapal, wolność..

Więc kwieciami uczucia zasiejmy ten grób, nad którym buja ptak i duch poety, i niech odtąd żyje ten młody pośród nas, jako wzniesiony w sercach „posąg — imię“.

Warszawa.

